

# Rozdział 1

Nazajutrz po firmowej imprezie ziewała jak smok. Marylka, w obawie, że zaśnie na stojąco, przytrzymała się sklepowego kontuaru, ale w końcu dotarła do kasy i ustawiła na ladzie koszyk z nielicznymi zakupami. Czekając na swoją kolej, zagapiła się na stojak z gazetami. Bezwiednie przebiegła wzrokiem po nagłówkach w szmatławej kolorowej prasie i odniosła nieodparte wrażenie, że w każdej gazecie piszą o tym samym. Nie bez kozery nazywała to prasową sieczką, czytowaną do kawy lub kotleta, gdzie artykuły, a raczej notki, były tak głupkowate i krótkie, że spokojnie można je było czytać nawet podczas prowadzenia auta. Marylka szczerze pogardzała tymi ogłupiającymi tytułami i gdyby nie obowiązki zawodowe, z przyjemnością popadłaby w stan prasowej ascezy. W pierwszej chwili nie zareagowała na uprzejme powitanie pani Gieni.

– A cóż to się stało, pani Marylko? Tak skromnie? Może chociaż parę konserw?

– Puszki? Ja nie lubię puszek. Mają konserwanty, a ja nie lubię konserwantów – odparła Marylka, zgodnie

z własnym sumieniem i przekonaniem.

– Ale ja tutaj nie o gustach, kochana. Ja o końcu świata. Pani wie, jakie teraz ludzie zapasy robią? – Pani Gienia nachyliła się nad ladą i wyszeptwała konspiracyjnie: – Normalnie jak na wojnę jaką. Myślałby kto! Sam proboszcz mówił, że tylko Najwyższy zna datę, ale na wszelki wypadek kazał się modlić, do spowiedzi iść i wody na zapas nakupić, ha! Niech pani weźmie chociaż ze dwie szyneczki dębickie. Specjalnie zamówiłam na okoliczność. Świeża dostawa z terminem przydatności do 2015. Ze trzy końce świata przetrzymają!

– Na co mi ta dębicka? Pani Gieniu, jak mnie tsunami zmiecie albo piekło pochłonie, to mi żadna konserwa nie pomoże – odparła Marylka ze znużeniem w głosie.

– No tak. Jasne. Pani taka nowoczesna i wyzwolona, więc pani nie wierzy. Ale gdybym to ja miała pod opieką dziecko, a zwłaszcza cudze, tobym się zabezpieczyła. Choćby w tę spożywkę i higienę.

– Nooo... – bąknęła Marylka bez przekonania, lecz sprytna sprzedawczyni właśnie przypomniała jej o Kubie, za którego trzeba być odpowiedzialną jeszcze przez jakiś czas. – Dobra. Niech pani da te dwie dębickie – westchnęła zrezygnowana.

– Turystyczne też? Są najlepsze. I żołnierskie. Jeszcze trzy mi zostały. A czasu nie za wiele. Miesiąc z okładem jedynie...

– Tak. Dać.

– A wodę mineralną? Mam oligoceńską. – W pani Gieni naraz obudził się wrodzony gen handlowca. Nie miała zamiaru poprzestać na konserwach. – Baniaki po pięć litrów. Dać? A świece?

– Nie! – oprzytomniała wreszcie Marylka.

Po cięższe sprawunki przyśle później Kubę.

O leniwym bratanku pomyślała z niechęcią. Gdyby nie rozwód jego rodziców, pewnie nadal byłaby wyzwołaną i wyluzowaną singielką bez zobowiązań. A tu zniecka, jakieś dwa miesiące wcześniej, obudził ją telefon w środku nocy.

Dzwonił Robert – brat Marylki – z Chile. Właśnie stał się na powrót wolnym człowiekiem. Jego była już żona, choć w trakcie procesu jak lwica walczyła o jedyne dziecko, wycofała się niespodziewanie. Zostawiwszy syna pod opieką ojca, spakowała walizki i bez słowa wyprowadziła się nie wiadomo dokąd. Przerażony Robert podjął zaś decyzję o powrocie i przywiózł syna do Warszawy. Wynajął dom w pobliżu i załatwił chłopakowi szkołę. Całe szczęście, że Kuba miał podwójne obywatelstwo i niezle mówił po polsku, więc bez problemu przyjęto go do prywatnego gimnazjum. Choć jego matka wciąż nie dawała znaku życia, życie obu zaczęło powoli wtaczać się na względnie proste tory.

Dotychczasowa znajomość Marylki z bratankiem sprowadzała się wyłącznie do wymiany zdjęć drogą internetową i okazjonalnego oglądania krótkich filmików z Kubusiem w roli głównej, zamieszczanych przez Roberta na YouTube. Rozkoszny blondwłosy berbecz wzbudzał czułość i uśmiech, ale również, prezentując zgoła kaskaderskie umiejętności, skutecznie studził macierzyńskie ciągoty swojej bezdzietnej ciotki.

Marylka, z braku jakiegokolwiek innej rodziny, z radością powitała powrót brata na łono ojczyzny. Zwłaszcza że zamieszkał niemal po sąsiedzku i tylko z dzieckiem. Bez tej swojej chilijskiej szantrapy, której od samego początku jego siostra nie znosiła z całego ser-

ca.

Z przyjemnością wygospodarowała trochę czasu, by pomóc bratu urządzić dom, i z niejaką obawą przyglądała się bratankowi. Blond aniołek, regularnie oglądany niegdyś w sieci, nie wiadomo kiedy stał się wyrośniętym młodzikiem o zbyt długich rękach i nogach, w gaciach z krokiem na wysokości kolan. Wizerunku dopełniały zwisające przy pośladkach szelki i rozsznurowane trampki, które w każdym normalnym człowieku budziły co najmniej obawę o los zębów posiadacza.

Tak też postrzegala rzecz Marylka, która ze zdziwieniem konstatowała, że Kuba jeszcze sobie nic nie uszkodził. Gdy jednak przyjrzała mu się uważniej, zauważyła, że bratanek do perfekcji opanował stosownie posuwisty sposób poruszania się, który sprawiał, że długie sznurowadła przy każdym kroku podskakiwały do góry. Tym samym nadeptanie ich było po prostu niemożliwe, a w konsekwencji wyrżnięcie twarzą o podłogę również nie.

Dodawszy do tego wizerunku długą grzywkę w stylu emo, zaciągniętą znad prawej skroni za lewe ucho i skutecznie zasłaniającą oboje oczu, należało młodemu pogratulować zręczności w poruszaniu się po omacku.

Tymczasem Robert, wskutek niedawnego wypadku samochodowego, został uziemiony w szpitalu. Po sprawnej interwencji chirurgów jego zdrowiu nic już nie zagrażało, ale i tak został skazany na długotrwały pobyt w specjalistycznej klinice i kilkumiesięczną rehabilitację.

Dziękując Bogu za odzyskane czucie w nogach, ostro zabrał się do ćwiczeń i powoli, acz systematycznie, powracał do zdrowia. Od zawsze był niepoprawnym optymistą, teraz zaś, po zakończeniu toksycznego małżeństwa,

dodatkowo odżył psychicznie. Pewien, że syn jest w dobrych rękach, pod opieką Marylki, mógł w stu procentach poświęcić się leczeniu. Wprawdzie jego młodsza siostra nie miała pojęcia o dzieciach, ale też piętnastoletni Kuba, zdrobniale zwany Kubkiem, nie sprawiał dotychczas większych problemów wychowawczych. W zasadzie obsługiwał się sam, wystarczyło mu zapewnić jedynie przysłowiowy wikt i opierunek. Jak na urodzonego lenia uczył się w miarę nieźle, więc nie licząc oczywistych niewielkich trudności z językiem polskim (tu przyszedł mu z pomocą doświadczony polonista), nie wymagał korepetycji.

Jakub był dzieckiem nieco introwertycznym, zazwyczaj bujającym w obłokach. Do szczęścia w zupełności wystarczyły mu komputer i konsola do gier.

Marylka sprawnie weszła w zakręt swoim nowym skuterem i po chwili zatrzymała go tuż przed wejściem do domu. Wyjęła zakupy ze schowka i przekroczyła próg. Jeszcze zanim namacała wyłącznik światła, zaraz za drzwiami potknęła się o rozrzucone adidas i wyrznęła głową w ścianę.

– Niech to szlag! Dzięki Bogu nie zdjęłam kasku! Co za bałaganiarski bachor! – mruknęła niezadowolona.

W salonie panował półmrok, rozświetlony jedynie niebieską luną z telewizora. Kubek leżał rozwalony na kanapie, zawzięcie rozgrywając futbolowy półfinał na playstation. Pochłonięty akcją na boisku zdawał się zupełnie nie dostrzegać otaczającego go rozgardiaszu.

– Kubek! Ruszże się wreszcie i...

– Nie no, ciotka! – wszedł jej w słowo. – Ile razy mam powtarzać, żebyś do mnie tak nie mówiła? Kubek, okej? Bo Kubek to ze smarkaczem się kojarzy – zapiszczał nie

do końca zmutowanym głosem.

– Przecież to idiotyczne, ale niech ci będzie. A zatem, Kubel, rusz tyłek i posprzątaj te łachy. To nie Chile, tylko Pruszków. I nie tak jak w tej waszej wypasionej hacjendzie, w mojej chacie nie ma gosposi.

– Phi! – Kuba wzruszył ramionami i omiół wzrokiem porzrzućane na podłodze ubrania. – A co ci to przeszkadza?

– Ten bajzel?! – Marylka nie była konfliktowa, ale powoli zaczynała się nakręcać. – Otóż posłuchaj no, panie Kubel! To jest mój dom i panują w nim moje porządki. A ty, jak chcesz tu mieszkać, to dźwignij łaskawie szanowne cztery litery. W pięć minut mam mieć te wszystkie brudne łachy w pralce! Jasne?

Poszła do kuchni i rozpakowała sprawunki. Miała za sobą ciężki dzień, była głodna, a na samym końcu musiała użerać się z nowym lokatorem. Robert nawet słowem nie pisał, że jego syn jest megabałaganiarzem i z rozkoszą uprawia kontestację wszystkiego, co normalni ludzie uważają za normalne.

Tuż przed wyjściem z pracy szefowa agencji reklamowej, w której pracowała, zleciła Marylce dwa pilne scenariusze do opracowania na rano. Niby doskonale wiedziała, że praca copywritera polega na wymyślaniu reklam i wymaga nie tyle odsiedzenia przepisowych ośmiu godzin za biurkiem, ile dobrego pomysłu, który rzadko kiedy pojawia się na zawołanie, ale w tym przypadku niewiele ją to obchodziło. Marylka zresztą nieraz udowodniła swoją skuteczność w działaniu pod presją czasu. Całe szczęście teraz chodziło zaledwie o dwa krótkie spoty radiowe, w dodatku zlecone przez niewielką stację. Mimo wszystko nie można było wypuścić byle

czego.

– Nic, tylko muszę coś zjeść, muszę coś zjeść, muszę... – mamrotała, kręcąc się po kuchni. – Mam! – wrzasnęła uradowana i błyskawicznie zanotowała pomysł na papierowej torebce po cukrze. – Kubel! Posprzątałeś już?

Odpowiedziała jej cisza, więc Marylka poszła sprawdzić, co się dzieje. Odnalazła bratanka w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Rytmicznie podrygiwał w takt dźwięków z iPoda, z wielkimi słuchawkami na uszach. Zerwała mu je, wściekła.

– Co jeee...? E, nooo... Cioootka, co ty?

– Nic. Startuj do roboty, i to już! Tutaj masz listę zakupów. Ale najpierw porządek.

Marylka przejęła dżojstik i wyłączyła mrugający ekran.

– Z buta mam dymać?

– Owszem. Nie zauważyłeś, że auto jest w przegładzie? O jeździe skuterem możesz sobie pomyśleć. Właśnie zaczął padać deszcz i chwyta mróz.

– Ale to będzie ważyć... – Kuba podniósł udręczony wzrok znad listy sprawunków. – Nie możesz kupić jakichś płatków albo kielków brokuła? Tylko same ciężkie rzeczy – zżymał się, przy okazji zbierając z dywanu rozrzucone ubrania. – Przecież ja tego nie uniosę, jestem zbyt wątły.

Tu nie wytrzymał i parsknął śmiechem, o jego dość masywnej posturze można było bowiem powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest rachityczna czy wątła. Marylka zaliczała się raczej do kobiet o średnich parametrach, ale przy bratanku wyglądała jak zabiedzony kurczak.

– Już dobrze, biedaku, ulituję się. – Uśmiechnęła się wreszcie.

– Dasz skuter?

– Nie. Oblecisz na dwa razy.

Urażony Kuba ostentacyjnie cisnął ciuchy tuż obok pralki i poszedł do sklepu.

– Uff! – Marylka nastawiła pranie i z ulgą klapnęła na krzesło, ale bezlitosne ssanie w żołądku wkrótce nakazało jej wstać i nałożyć sobie wczorajszego kapuśniaku. Przyśiadła z kokilką pożywnej zupy i przejrzała się w lustrzanej klapie nowego piekarnika.

– Matko Boska! – powiedziała ze zgrozą.

Przyglądała rozczochrane włosy. Naciągnęła lekko poszarzałą skórę pod oczami i obiecała sobie już nigdy nie szaleć aż tak bardzo na firmowych imprezach. Od zawsze wyglądała na starszą (cóż, takie geny przekłęte!), a dziś nocne zmęczenie dołożyło do jej dwudziestu ośmiu – przynajmniej pięć lat.

Ostatnio, za namową koleżanki, zrezygnowała z prostowania naturalnie kręconych, brązowych włosów. Niesforne kędziorki miały jej ująć wieku, a tymczasem po każdorazowym ściągnięciu kasku Marylka wyglądała, jakby przed chwilą wsadziła palce do kontaktu. Jedyną ze świeżych zmian, z której tak naprawdę była zadowolona, okazała się zamiana okularów na soczewki kontaktowe. Okulary, mimo że szykowne, skutecznie przydawały powagi i na dokładkę wyginały się pod kaskiem. Początkowo Marylka chciała zrobić wszystkim dowcip i zafundować sobie dwukolorowy, demoniczny zestaw żrenic à la Marilyn Manson, ale widząc minę sprzedawcy, zrezygnowała i kupiła wściekle błękitne. Dokładnie w kolorze bławatków. Uznała, że ma wystarczająco odje-



chane zajęcie, a artystom pewne szaleństwa zawsze uchodzą na sucho. Ba! Czasami są wręcz mile widziane i traktowane jako przejaw kreatywności i fantazji. Nie ma to jak twórca robota! Nawet w kwestii ubioru do pracy bywa łatwiej. W agencjach reklamowych pracowników nie obowiązuje żaden drakoński dress code, wymagający przepisowych dekoltów i spódniczek za kolanko oraz pełnych butów i rajstop. Nawet w upał godny Republiki Konga.

Marylka od dziecka miała kompleksy z powodu swojej wagi i dlatego tak bardzo kochała styl boho. Luźne tuniki idealnie tuszowały wymaginowane fałdki na brzuchu i krąglą pupę, która aż się prosiła, by ją wyeksponować w obcisłych dzinsach. Marylka była bowiem młodą, całkiem atrakcyjną i apetyczną kobietką o zdrowym, normalnym wyglądzie. Niestety, ona sama miała na ten temat inne zdanie. Uważała się za grubą, przeciętnej urody i pozbawioną wszelkiego powabu. Mężczyźni z jej otoczenia najwyraźniej nie podzielali tej opinii i przy każdej nadarzającej się okazji prześcigali się w nadszkakiwaniu koleżance, lecz ona zdawała się tego kompletnie nie zauważać. Tak było i na wczorajszej imprezie z okazji narodzin potomka dyrektora kreatywnego, na której cały personel bawił się do upadłego.

– Nie rycz, idiotko, bo te swoje kontakty wypłaczesz, a ja będę musiała ich szukać! – pocieszała ją na swój sposób Laura, sekretarka agencji CreativeStuff. Bardzo lubiła koleżankę i nie odstępowała jej na krok, gdy ta wpadła w pijacką depresję.

– Pieprzyć kontakty! – wychlipała Marylka. – Widziałś, jak się zaślinił ten dureń od website'ów? Świnia jedna, w tańcu za tyłek mnie łapał!

– No wiesz... Wszystkie na niego lecą, więc rozwydrzył się trochę i sobie pozwala. Podobasz mu się.

– Bzdura! Wcale mu się nie podobam, tylko chce mnie przelecieć. A to zasadnicza różnica.

– Dla faceta? Chyba żartujesz. Dla nich żadna. Normalny facet zawsze chce się przespać z babką, która mu się podoba.

– No tak, ale pod koniec imprezy to im się już podoba każda. – Marylka rozbeczała się na dobre. Szybko wyjęła z torebki chusteczkę, żeby mieć w co łapać szkła kontaktowe.

– Ale na trzeźwo też mu się podobasz – ciągnęła Laura. – Już jakiś czas temu zauważyłam, że gapi się na ciebie jak cielę. I zawsze śmieje się z twoich dowcipów. Nawet jak nie są śmieszne.

– Jak to: nie są?! – obruszyła się Marylka, po czym rozszlochała się na całego.

Już nawet nie tylko o to, że jest brzydka, gruba i że nikt jej nie kocha, ale że jest towarzyskim dnem, które nawet nie potrafi opowiedzieć sensownego dowcipu.

Laura załamała ręce i pożałowała swojej uwagi. Uznała, że koleżanka ma dość i należy odtransportować ją do domu. Oczywiście Marcel zameldował się jako pierwszy, ale czujna sekretarka własnym ciałem zasłoniła zapłakaną koleżankę i spławiła napalonego menedżera. Osobiście zapakowała Marylkę do taksówki, uściskała ją mocno i obiecała zrobić jej rano w biurze największą i najmocniejszą kawę na świecie. Słowa dotrzymała. Gdy tylko wciąż lekko nieprzytomna copywriterka przekroczyła próg, natychmiast otrzymała parującą kawę w ceramicznym naczyniu wielkości garnka.

Nie zdążyła upić nawet łyżeczki, gdy obok niej jak spod

ziemi wyrósł Marcel. Z kurtuazją otworzył przed nią drzwi, po czym bezceremonialnie rozsiadł się na sofie dla klientów w jej własnym gabinecie. Wbił w koleżankę natarczywe spojrzenie.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Niczego. Pogadać – odparł swobodnie.

Marylka, mając świadomość, jak fatalnie wygląda, spróbowała dyskretnie osłonić oczy niesformnymi kędziorkami.

– Niby o czym?

– O nas.

– O czym? – Aż wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. – Przecież nie ma żadnych „nas”.

– Może i nie ma, ale możemy to zmienić. Co ty na to?

– Że co? Że niby ty i ja? Razem? Jako para? Daj spokój. – Marylka poweselała. Mimo wszystko propozycja polechtała jej dumę. Zrobiło się jej miło.